

O konieczności przewagi refleksji nad emocją

Z DYREKTORKĄ ZIELONOGÓRSKIEGO TEATRU IM. LEONA KRUCZKOWSKIEGO
KRYSZYŃĄ MEISSNER ROZMAWIA JAN J. DĘBEK

— Pani Krystyno, przysnam się pani, że zwykle nie wierzę za bardzo dyrektorem. Nieufny bowiem jestem wobec zapowiedzi tego, co też za teatr będą robić w nowym sezonie. Czegoś to ja już nie słyszałem w tym gabinecie przez lata! Dziś od razu na początku naszej rozmowy składam takie oto oświadczenie. Otóż ja pani, pani Krystyno, już wierzę, po prostu wierzę. Bo jakoś się wszystko sprawdza.

— Muszę panu powiedzieć, że im dalej w las, tym trudniej. Nie wierzy pan na początku zapowiedziom... Otóż to jest tak, że na początku ma się poczucie siły przebiecia, wynikające z nieświadomości, jakie trudności spotykają dyrektora. Tak też i było ze mną. Dopiero po pewnym czasie, kiedy te trudności wychodzą w trakcie pracy, kiedy objawiają się różnorakie problemy, widać, że się pewnych rzeczy nie zrobi. Zresztą czasy nie są łatwe. I świadomość kłopotów staje się wielkim ciężarem, którego przecież nie czułam, gdy przystępowałam tu do pracy. Wydawało mi się po prostu, że wszystko zrobię, pokonam, przełamie momentalnie. Teraz mnie najbardziej dusi plan. Jeśli ma być dobry efekt tego, co my tu robimy, powinna być dłuższa eksploatacja spektakli. Powinnismy mieć bowiem więcej czasu na przygotowanie kolejnej sztuki. Tymczasem zielonogórska publiczność chodzi na około 30 spektakli jednego przedstawienia. Dlatego musimy z zadyską przygotowywać na stepnie. I problemem staje się utrzymanie jakości przedstawień przygotowywanych w coraz krótszych terminach.

— Dziś już pani chyba wie dużo o publiczności zielonogórskiej. Więcej — co tu można robić, a czego jednak nie można? Czy pani wie, kto u pani siada na widowni?

— Tego się nigdy nie wie do końca. To znaczy — na pewno publiczność zielonogórska jest bardzo zróżnicowana. Jak w każdym innym mieście. Zachowując, oczywiście, proporcje. Obserwowałam w zeszłym sezonie, że są przedstawienia znakomicie przyjmowane przez publiczność „weekendowa”, to jest sobotnia. Piękny bywał wtedy odbiór. Gorszy był w dni wycieczne, kiedy widownia była w większym stopniu organizowana. Nie chciałyśmy nigdy go skrzywdzić, ale wtedy przychodziły przeważnie szkoły. Bywają wśród nich takie, gdzie młodzież zupełnie nie jest przygotowana do odbioru teatru. I wtedy przedstawienie dociera z wielkim trudem.

— Mamy coraz częściej do czynienia z krzepiącymi widowkami. Widziałem, jak w czerwcu, ciepły, niedzielny wieczór przed kasą ustawiła się kolejka po bilety na premierę Mroźka. Nie noszą kolejek, lecz do kasy teatralnej jakby tak...

— Zwycięstwem jest 100 biletów sprzedanych w kasie na „Szkariatna wyspa” w okresie „Mundialu”, prawda?

— Oczywiście. Ale to „Szkariatna wyspa”. Sukcesem jest to, że została w ogóle zrobiona, że doszło do premiery i że jest nadal eksploatowana.

— Muszę powiedzieć, że jest to wynik harmonijnej, mądrej współpracy z wojewódzkim Wydziałem Kultury.

— Żeby to nie zabrzmiało tak, iż pani poprzez „Gazetę Lubuską” prawi dusery pani dyrektor Fijałkowskiej. Ale to jest święta prawda.

— W ogóle istnieje rozmowa między nami i to jest dla pracy artystycznej teatru szalenie ważne. Bo bywały tu takie czasy, o czym pan bardzo dobrze wie, kiedy taka rozmowa zaistnieć na tej linii nie mogła. Bywało tak — smutne to dla teatru — kiedy władze nie dyskutowały, lecz dyktowały teatrowi, dyrektorowi, co ma robić.

— Ma pani za sobą w Zielonej Górze prawie dwa sezony. Co z tego wynika? Jaka refleksja? Jaki na podstawie tych doświadczeń chce pani robić teatr w 1982 roku? Ma pani wielką konkurencję — tyle teatru na ulicy...

— Rzecz, którą się zauważa, która jest decydująca dla życia naszego społeczeństwa, jest absolutna przewaga emocji nad jakakolwiek refleksją. Ponieważ jest zbyt dużo sytuacji, faktów, które działają na nasze dosyć nieprzygotowane myślenie polityczno-społeczne. Myślę więc, że zadaniem teatru jest bardzo trudne: uczenie koniecznego dystansu. Przeniesienie na scenie z pewnego dystansu na to, co się dzieje w życiu. W żadnym wypadku nie może to być teatr dydaktyczny, nadający jakiś kie-

runek myślenia, do czegoś nawołujący. W żadnym wypadku! Ale powinien obserwować naszą rzeczywistość jakby z lotu ptaka. Nas musi interesować przede wszystkim człowiek. Przez metaforę pokazać ludziom, jacy są.

— Wie pani, mi chodzi o to, aby ludzie, którzy przecież uwierzyli — i słusznie — w swoją moc sprawczą w polityce, w życiu publicznym, zobaczyli na scenie teatralnej, że oni nie są wcale tacy wspaniali w tym zacietrzewieniu. Dzisiaj każde powiedzenie czy pokazanie, jak jest naprawdę lub blisko prawdy, ludzi bardzo irytuje. Po prostu nie chcą tej prawdy. Nie chcą wiedzieć, że właściwie balansują nad przepaścią. Albo też nie chcą słyszeć, że wycofując się z życia publicznego, przykładają cegiełkę do tego, co u nas dzieje się źle.

— Pan już ocenia. A dla nas jest niesłychanie ważne, aby człowieka zaakceptować niezależnie od wprostkiego, akceptować ze wszystkim. To musi mieć odbicie w roli, w stosunku aktora przed stawiającego postać do widowni i — zarazem — do przedstawianej postaci. Chodzi o danie tym, którzy siedzą na widowni, pewnej perspektywy sytuacji, w jakiej się znaleźli. Nie do nas na leży rozwiązywanie tej sytuacji. Zresztą byłoby to śmieszne, gdybyśmy próbowali to robić... Chodzi o to, aby razem cjonowany człowiek, siedzący po uszy w jakichś sprawach, mógł zobaczyć się bje na naszej scenie w pewnej perspektywie społecznej, filozoficznej, historycznej, w każdej innej. Aby nabrał u nas pewnego uspokojenia. Uporządkował choć trochę chaos wewnętrzny.

— Napisała kiedyś Wisława Szymborska, że nasza epoka jest „szalenie polityczna”. Każdy gest jest polityczny, każde słowo — polityczne. Wszystko ma swój znak: słusze — nielusne. W takiej sytuacji, właściwie niezależnej od nikogo, teatr, chce czy nie chce, też jest polityczny...

— Zadawałam sobie nieraz pytanie, czy ja prowadzę teatr polityczny? I nie, i tak. Bo ja się zajmuję w zasadzie człowiekiem. Ponieważ współczesny człowiek jest wpłany w tę straszliwą pajęczynę, ponieważ właśnie te sprawy go rozsadzają, więc i to się musi znaleźć w polu mojej obserwacji, mojej pracy. W ten sposób teatr mój robi się polityczny.

— Ale jest to teatr daleki od wulgaryzowania polityki. Od tzw. agitki. Od — co tu dużo mówić — uproszczeń tzw. sztuki zaangażowanej.

— Po Sierpniu zaczęły powstawać w teatrze swego rodzaju reportaże polityczne. One były gorące. Wyrastały z zapotrzebowania społecznego. Ale to przecież nie jest stricte teatr. Bo teatr to jednak pewna forma, pewna metafora. Dziś najważniejsza jest pewna próba ogarnięcia wraz z publicznością, zrozumienia tego, co się dzieje. Przede wszystkim refleksja nad tym, co się dzieje.

— Pani Krystyno, do jakich swoich dotychczasowych realizacji w Zielonej Górze jest pani szczególnie przywiązana?

— Do tego nurtu, który mniej lub bardziej metaforycznie, idzie właśnie za próbą zrozumienia i człowieka, i sytuacji, która się wytworzyła. Człowieka w tej sytuacji. A więc „Sto rak, sto szyletów” Zurka, „Pluskwa”, te dwie sztuki robiłam sama, a także „Do wzięcia” i — oczywiście — „Szkariatna wyspa”. To są jakby słupy w naszej pracy. W tej chwili przystępuję do pracy, nie wiem jak mi to wyjdzie, nad swego rodzaju „tryptykiem”. Zaczynam pracę nad „Czekając na Godota” Becketta. Potem będzie „Nie-Boska komedia”. I wreszcie „Do piachu” Różewicza. W tym jest rzeczywiste dużo o naszej sytuacji. Oczywiście, różnymi językami, w rozmaitych konwencjach. Ale daje dużo do myślenia.

— A obok tego?

— Na dużej scenie, bo te trzy spektakle, które wymieniam, będą realizowane na małej scenie, chciałabym ludziom trochę życie rozjaśnić, trochę ich rozbawić, ale... nie tak do końca. Ktoś powiedział, że od zwierzenia różnymi się przede wszystkim umiejętnością śmiania się, i to śmiania się z siebie, bo to śmiech najdoskonalszy. W ten sposób też bym chciała przywrócić ludziom spokój. Będzie więc farsa Labiche'a, „Zemsta” Fredry, potem groteska, bo Witkacy. Chyba zrobię „Matkę”, myślałam o różnych sztukach Witkace-

go, ale jeśli znajdę reżysera, to będzie „Matka”, mam bowiem aktorkę do tej roli — Danutę Ambroż. A na koniec — „Słoń” Kopkowa. Tak by było na dużej scenie. Może jeszcze na małej scenie zmieścimy „Strach i nędzę III Rzeszy” Brechta.

— Te wszystkie zamierzenia muszą mieć realizatorów...

— Kto będzie robił, tego panu jeszcze nie powiem. Bo z tym jest bardzo wielki kłopot. Ten kłopot ma trochę śmieszny przyczynę. Ponieważ żyjemy w czasach tak niespokojnych, bardzo trudno jest wyrwać kogoś z własnego mieszkania i sprowadzić go tak daleko, jak do Zielonej Góry. Niechętnie się ludzie ruszają. Jestem pełna podziwu dla nowych ludzi w zespole, którzy tutaj przyszl. A przyszło dziesięć osób. To odważa. Zaczynam współpracę na początku sezonu z młodym reżyserem ze szkoły warszawskiej — panem Jackiem Wierbickim. Będzie u nas robił Labiche'a. W zeszłym roku wystartowałam z mocną grupą reżyserów — absolwentów PWST w Warszawie, w tym roku chciałabym przedstawić młodych reżyserów z Krakowa. Już jestem podogadywana. Staram się też o kogoś z nazwiskiem, o kogoś, kto powinien spotkać się z tym zespołem.

— Teatr to — tak się nawet mówi: ansambl — pewne dziale zbiorowe. Każdy mądry dyrektor bywa swego rodzaju wychowawcą. Potem się zresztą tak go przez lata wspomina. Jako kogoś, kto pomógł znaleźć pomysł na siebie, na życie w teatrze. Zapewne też ma pani, pani Krystyno, ambicje ukształtowania zespołu, który by siedział za panią, jak za panią-matką...

— To może nie tyle ambicje, ile pewne marzenie, które właściwie nie opuszcza żadnego reżysera, nie tylko dyrektora. Ale to nie jest najważniejsze — dogadać się poza sztuką. Rzecz w tym, aby dogadać się w ramach sztuki właśnie. Wszystko zależy od atmosfery pracy.

— Jestem zdecydowanym przeciwnikiem demokracji w sztuce, w teatrze. Jestem za to za bezwzględną dyscypliną, za istotną pracą, za stałym dążeniem do doskonałości w atmosferze ogromnego wysiłku. Jakim ideom, jakim pryncypiom, jakiej skali wartości chciałaby pani podporządkować swój zespół, swój teatr?

— Pan to szalenie wysoko wziął! A ja marzę o jednym: o jakości pracy. Bo to, co mnie w gruncie rzeczy przede wszystkim interesuje w pracy z aktorem, to — co możemy uzyskać razem. Mnie nie interesują mierne, przeciętne wyniki. Mankamentem mojego teatru jest, że — przy wielu bardzo pięknych rolach, z jakimi mieliśmy do czynienia w ubiegłym sezonie — nie było to czegoś takiego, co można uznać za wydarzenie aktorskie. Parę osób dało o sobie znać, ale to tak, jakby dopiero się zaczynało. W każdym razie mam niedosyt.

— Teatr, który pani robi w Zielonej Górze, staje się dla mnie coraz ważniejszy. Po prostu zobaczyłem istotne przedstawienia, o czym zresztą pisałem. Ale jest we mnie niejako strach prowincjusza: jak długo to potrwa? Dlaczego się to musi rozwalić, jak się niejedno tu rozważyło? Jestem tu dziesięć lat i widziałem wiele zamachów na rzeczy fajne, istotne w kulturze. Stąd ten strach...

— Wie pan, że sama jestem ciekawa, jak się to rozwinię. Chciałabym, aby nasze niepokoje, moje niepokoje okazały się płonne.

— Dziękuję pani za rozmowę.